

Cela Nr. 7.

Kartka z niedawnej przeszłości.

Cichy nastrój.

Wachlarzem na pułapie kładzie się poorane cieniami kraty tęskne światło przyćmionej lampy.

Noc.

Cisza w celi. Tylko czasem drzwi, okute blachą, jęką pod uderzeniem przechodzącego kurytarzem dozorcę; to znów klucz zaskrzypi w zamku, przypominając, że wolność tu zamknięta.

Noc.

Cień wygląda ze wszystkich czterech kątów, bo słaby refleks lampy cofa się od nich, jakby z obawą, sięgając tylko ustawionych nar szerokiach.

Wprost drzwi, w drugim celi końcu, dwa okratowane okna. Cztery nędzne, zabrudzone szybki, raczej trzy, bo w każdym oknie jedno stłuczone, w dzień światła nie dopuszczają, tembardziej teraz nocą tamują błysk świecącej gdzieś w oknie dalekiej kamienicy nocnej lampki, przyświecającej, być może, cudzemu szczęściu, obcej rozkoszy.

Życie i bądźcie szczęśliwi, dopóki żyjecie...

Radujcie się, radujcie się, wy, którzy nie potrzebujecie spać zimną nocą na brudnej podłodze, oparci głową o „źródło wszechwoności“ w celi, o „paraszę“, wprowadzaną gościnnie co wieczór.

Na szerokiej, pośrodku sali w podłogę żelaznymi korzeniami wrosłej pryczy, głowami ku sobie zwróconych, śpi ciał dwadzieścia, po dziesięć na każdej stronie. Tworzą jakby dartego orła: nogi ich — to skrzydła, zwrócone ku zewnątrz, jakby w dążeniu ku światu; głowy — utkwione w brzuchu wszechwładnego molocha.

Innych dwudziestu wieńcem pod ścianą śpi na podłodze. Tu głowa, ówdzie nogi sterczą z pod zdarłego baraniego kożucha, tam błyszczą guziki kolejowego munduru, czapka studencka, żołnierski szynel i łachmany włóczęgi, który się zaparł nazwiska.

Czarna cisza wisi w powietrzu, a dołem czterdzieści oddychów uderza różnym rytmem.

Cela na osób dwadzieścia. Tak oznaczono w księgach więziennego zarządu, podług planów budowniczego i sanitarnych raportów lekarza.

„Dusze“ dwadzieścia — jakby dla kontrastu notują w księgach ci najbardziej typowi z typowych drobnych biurokratów, na których istotę składa się wszystko, prócz duszy, wszystko, a przedewszystkiem brzuch i kieszeń. Ci urzędnicy kancelaryi więziennej, od wolnego najmity dyetaryusza, aż do „samego“ naczelnika więzienia włącznie, o danadłowych kieszeniach, gotowi są sprzedać Chrystusa, a ułatwić ucieczkę stu Barabaszom, jeśli im się to „opłaci“. Na szelest jedwabistego papierka mięknie coraz bardziej w stosunku prostym do wypisanej na papierku cyfry. Ono, i oni mają serca, i to są podobno „ludzie“. I między nimi są dobrzy mężowie i ojcowie, dobrzy t. zw. ludzie, ale szukać między nimi „człowieka“, niemal — daremne.

Cela na osób dwadzieścia. Ale w gmachu-całym, we wszystkich więzieniach przepełnienie, więc i tu dwakroć pełno. Cisza wisi w powietrzu, ale tu, w tym nietyle „powietrzu“, ile „braku powietrza“ zawiśnie topór nietylko cisza nocna.

W jednym z kątów, u nóg głuchoniemego włóczęgi wtuliło się w bratnim, sennym uścisku dwu pędraków, jeden lat dziesięciu, drugi dwunastu; obaj roznosiciele gazet. Pierwszy, żydek o ciemnych lokach, typowy uliczny sprzedawca pism żargonowych. Drugi — roznosiciel gazet prenumeratorom do domów. Zarzucano mu również zabroniony kolportaż pism, wprawdzie nie zabronionych, ale... jak każde drukowane słowo, jak każdy błysk światła — niebezpiecznych, zdaniem „Wydziału Ochrony“ dla ustroju państwowego.

Cisza. Zdaleka dochodzi knra pianie...

Nagle przez grube kraty okna wdziera się ostry krzyk kobiety, jakby przy wydzieraniu serca z żywej piersi wydany. To obłąkana, zamknięta w „oddziale sekretnym“, to jest w jednym z cel pojedynczych drugiego piętra, rozpacznie się szamocze. Rzadkie ma chwile przytomności i w te właśnie rzadkie chwile ból tak nią targa. Znowu chwila absolutnej ciszy. Oddechy, jakby ustały i znowu ten krzyk rozpaczliwy, ostry. Głos ten wpadł piorunem przez drzwi i okna zrazu, szatańskim świstem przeszył powietrze i raził uśpione mózgi niewolnych lokatorów celi.

Jeden z nich, leżący pośrodku pryczy, dobrej tuszy mężczyzna o sumiastym wąsie, odemknął zleka najpierw jedną powieczę, potem drugą, uniósł nieco głowę i powiodł wzrokiem po towarzyszach.

Mózg jego i pierwszej nie spał. Pracował zmysł

śluchu, tem czujniejszy przy zamkniętych oczach. Czasami ktoś przez sen majączy; czasami, korzystając z nocnego spokoju, opowiada półszeptem sąsiadowi swoje czasami krwawe, indziej wesołe, albo znów smutne dzieje. Smutne — ale wolne.

Uwaga popłaca. Podniósł wzrok, nastawił uszy, jak wyżeł, wystawiający zwierzyne, jak pies...

Pies...

Ale cisza dalej panuje nieprzerwana. Znowu nierównomierne oddechy czterdziestu piersi, znowu tych samych gardeł chrapanie i znowu zdaleka głos wariaty, tylko już nie krzyk ostry, ale jakiś jęk, czy łkanie.

I światło lampki dalej błyska, rzucając na pułapie złoty wachlarz, poorany cieniami kraty.

Wachlarz błednie zwolna. Lampa dogasa? Nie — to świty przedzierają się przez nocne mroki. Cienie chowają się coraz głębiej w kąty, mrok wpełza pod nary, wsiąka w ściany, olejno na białe z szeroką czarną lamperyą malowane.

Rządowy płomień latarki świeci dalej urzędowo, czyli smutno, ospale, aż wreszcie gasi go ręka niewytrzeźwionego jeszcze strażnika.

Świetlisty ranek. Złoty deszcz słońca kaskadą blasku oblewa dachy więziennych oficyn i mur przeciwległy, wysoki a długi, zdaje się równie bezlitosnie, bezczelnie długi, jak noc, spędzane w tej klatowni.

Zwolna zagląda słońce i do celi. Dwadzieścia i pięć krat żelaznych, grubych, przymocowanych nakrzyż w każdym oknie, nie zdołają wstrzymać tych promieni, ożywiających serca nadzieją, dających słabszym duchom jaką taką równowagę.

Ogólną szarżyznę, panującą w sali urozmaica zawieszona do wysuszenia na oknie czerwona, żołnierska koszula. Uprał ją jej właściciel z samego rana, zaraz po pierwszym otworzeniu celi to jest o godzinie szóstej w ubikacji, położonej w końcu kurytarza, a nie wspólnego z fabryką perfum i mydeł, ani żadnych innych wonności nie mającej.

Porządek tam panujący dostrojony jest do całości. Z jednej strony kamienna pochyła ściana, ociekająca zrzadka dla dezynfekcyi wodą; pod przeciwległą ścianą — dziesięć tuż obok siebie bez żadnych zastłon ustawionych siedzeń, ongi czystych, dziś tak zanieczyszczonych, jak to jest nieuniknione. Frekwencya tu szalona: około pięciuset przymusowych pensjonarzów zwiedza tę ubikację codziennie, nie jeden parokrotnie na dobę. Oprócz czynności zasadniczych załatwia się tu pranie. Korzystają z tego ci więźniowie, którym z miasta bielizny nie przysyłają na zmianę.

Do takich należą przedewszystkiem zamiejscowi, nie posiadający tutaj rodziny, ani przyjaciół. Ci nie otrzymują tak zwanych „wałówek“, czyli codziennie od dziesiątej do dwunastej rano w kancelaryi więziennej dla aresztantów przyjmowanych przesyłek. W niektórych więzieniach, jak na przykład w twierdzy (cytadeli) przesyłki takie przyjmowane są tylko dwa razy w tygodniu przez „sztab główny“. Dni te, mianowicie wtorek i piątek, noszą z tego powodu charakter o wiele więcej świąteczny, niż niedziela.

Ze sztabu wałówek wędrują na wozach do pawilonu X lub kazamat w fortach i wewnętrznych rawelinach, zwanych tu urzędowo „fortami“.

Jednym z popularniejszych jest tu otaczany sympatją fort „Aleksieja“, dalej forty: trzeci i inne.

Zanim wałówka, złożona zwykle z paru sztuk bielizny, paczki papierosów i zapalek, trochę pieczywa i wędliny (wszystko zamieszane w kobiałce) dojdzie adresata w cytadeli lub w fortach, ubywa z niej potrochu na każdym etapie tak, że więzień dostaje zaledwie ślady tego, co było, resztki niezaszczycone apetytem konwoju i przygodnych rewidentów. W więzieniach miejskich wałówki dochodzą zwykle w porządku, rzadko czegoś w której z nich brakuje. I owoców, zabronionych w przepisach, zbyt surowo tu nie pilnują.

Korespondencyi z miastem przy wałówkach prowadzić nie można, gdyż jest to surowo strzeżone. Przy pakunku, oprócz naklejonej kartki z nazwiskiem, może się znajdować tylko wykaz tego, co paczka zawiera. Jednak „est modus in rebus“ zawsze i wszędzie. Tak więc w cytadeli, literatura drukowana i pisana, choćby na skrawkach gazet i torebkach od cukru, kwitnie i cel swój osiąga.

Rano ruch w celach zaczyna się między godziną szóstą a siódmą. Więźniowie wstają, składają na jeden stos na nary cztery sienniki, rozkładane na noc w poprzek dla wszystkich; jeden z więźniów, codzień kojejno inny, pełni dyżur, to jest, zamiata podłogę, inni, też wyznaczani kolejno, wynoszą do poprzednio opisanej już, a gdzieś indziej dwoma zrami tytułowanej ubikacji „paraszę“ — kubel wy-

soki, uszaty, inni oczyszczają ustawione w kątach cztery miski blaszane, używane raz jako spluwaczki, kiedy indziej włączane do kilkudziesięciu takich samych i niczem się nie różniących, które służą do śniadania i obiadu.

Około godziny ósmej do dziesiątej dają śniadanie, barszcz biały, przygotowany na resztach razowego chleba, niedojedzonego przez więźniów i zwracanego przez nich codziennie. W barszczu tym częściej co prawda pływają tak zwane skwaraki słoniny, niż karaluchy, ale i to się od czasu do czasu zdarza, co nie jest dziwne temu, kto raz choć widział tutejszą kuchnię, umieszczoną w piwnicy, nie w suterenie, lecz dosłownie w piwnicy, nie przewietrzanej, wilgotnej, brudnej i bez podłogi. W tem miejscu, gdzie powinna być posadzka — stoi normalnie kałuża cuchnącego błota. Wogóle — błoto po kostki zajmuje całą powierzchnię tak zwanej podłogi. Całość mizernego umeblowania kuchni dostosowana jest ściśle do tej podłogi. Można by o tej kuchni powiedzieć jak o Neapolu, że raz ją dosyć ujrzeć i... umrzeć.

Natychmiast po śniadaniu dają gorącą wodę, którą nabiera się na te same miski blaszane, wypłukane po barszczu pod jednym z dwu wodociągów, znajdujących się na korytarzu, a rano służących do mycia się. Ponieważ w „wałówkach“ wolno jest przysyłać cukier, herbatę i t. p., więc, kto je ma, wodą tą naparza herbatę, dzieląc się nią z najbliższymi sąsiadami.

Wogóle panuje tu dobrowolna częściowa komuna. Od śniadania do obiadu czasu niewiele, i ten schodzi na odbieraniu „wałówek“.

Obiad wydają o pierwszej z południa, a składa się on z takiej samej miski zupy, najczęściej w postaci gęstej kaszy z kartoflami, grochu z kapustą lub grochu z kartoflami, albo wreszcie kaszy z grochem.

Wszystkie potrawy zdradzają tu skłonność do asymilacji.

Trzy razy na tydzień, mianowicie w niedzielę, wtorek i czwartek do zupy dodają porcję gotowanej wołowiny, wagi ćwierć funta, włączając kości, tłuszcz etc.

Zaraz po obiedzie, mniej więcej, o godzinie drugiej, wydają znowu gorącą wodę, w której każdy myje naczynie miejscowe, lub stanowiące jego prywatną własność, pochodzącą z „wałówek“. Woda ta służy, jak i rano, do naparzenia herbaty, o ile ją kto posiada.

Do całodziennego jedzenia dodać należy porcję razowego chleba, wagi półtora funta, a właściwie ćwiartki dużego, pięciofuntowego bocherka, wydaną co rano, zaraz po zamiataniu, przed barszczem.

Między godziną drugą a czwartą trwa godzinny spacer po korytarzu. Przechadza się jednocześnie około stu osób, z paru cel naraz.

W oddziale tak zwanym „sekretnym“, przechadza się pod opieką żandarma więźniowie tylko jednej celi, najwyżej po dwu — trzech. Opiekun ten towarzyszy sekretom również tam, dokąd zwykły śmiertelnik sam się zazwyczaj udaje.

W tym kierunku, jak i w innych, większem zaufaniem cieszy się oddział ogólny, skąd więźniowie te niezbędne wycieczki odbywają bez opieki. Za tę przyjemność pozbawieni są innej, z której korzystają sekretni. Tym bowiem o wiele częściej, niż tamtym, dodają na towarzyszy samotności, zawodowych agentów „ochrony“, którzy starają się wyzyskać pokładane w nich nieraz lekkomyślnie przez uczciwych współwięźniów zaufanie. Stodkimi słówkami, okazywaniem współczucia, tysiącami drobnymi usługami, wreszcie symulowaniem ze swej strony, tak umieją oni opętać niejednego, że ten, choćby był w gruncie rzeczy człowiekiem, nie mieszącym się do niczego i czystym lojalnie, jak tza, dopóki w błoto nie spadnie, uwikła się w tak umiejętnie snutą intrygę, że się z niej nie wypłacie.

Funkcje takie po amatorsku spełniają nieraz agenci „z Bożej łaski“, jeżeli się godzi tak nazywać to plugastwo, rodzące się z ostatnich wyrzutków — bandytów.

Bandytów tych, rzekomo skruszonych, używają tu nie tylko do wyciągania na słówka więźniów w celach, ale dają im funkcję urzędników państwowych, powierzając im formalne badanie, narówni z żandarmeryą, tak zwanych przestępców politycznych, lub podejrzanych. Niektórzy z nich zyskali sobie nawet popularność na tem polu i to większą niż w rozbójnictwie. Do tych należą osławieni: Olek Czerwony (pierwotnie kelner), Jelonek, Poeta, Herbatka, Mieczysław Sankowski, Hanke i inni. Ludzi tych spotyka się nieraz na korytarzu areztu policyjnego w ratuszu — ale rzadko, gdyż inni więźniowie korzystają wówczas ze sposobności, żeby ich obić.

Koło godziny piątej po południu trzecia wy-